

## Przemysław Mrówka: Kto przegrał na Brexicie?

Komentatorzy mają tendencję do rozpatrywania Brexitu jako rozgrywki między Londynem i Brukselą. Pomija się jednak, że jest jeszcze trzecia strona tego sporu: obywatele Zjednoczonego Królestwa. Widać to zwłaszcza w retoryce euroentuzjastów, sprowadzający głosujących za wyjściem do poziomu otumanionej przez złowrogich demagogów tłuszczy – pisze Przemysław Mrówka w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Pęknięta. Europa po Brexicie”.

Wyobraźcie sobie Państwo grupę znajomych, którzy spędzają razem czas, bawią się, pracują, ogólnie rzecz biorąc trzymają się blisko. Pewnego dnia jeden z nich stwierdza, że nie chce z nimi dalej się zadawać, albo raczej chce, ale nie pasuje mu ta bliskość i woli utrzymywać pewien dystans z jakiś powodów. Nasuwają się dwa typy reakcji: obojętność, a więc wzruszenie ramionami i powiedzenie „Cóż, Twój wybór, trzymaj się”, lub chęć zatrzymania tej osoby „Ale dlaczego? Co się stało? Czy jesteś pewien tej decyzji?”. Istnieje jednak także trzecia reakcja, czyli obrażenie się na delikwenta „Tak? No to się wynoś! Ale żeby nie było ci za łatwo, i żeby nikt już nie chciał sobie pójść, zwiążemy ci sznurowadła”. A żeby było jeszcze gorzej, odnieść można wrażenie, że nasz hipotetyczny secesjonista sam nie wie do końca, dlaczego wybrał odłączenie się od grupy.

Epopeja Zjednoczonego Królestwa zaczyna się niepozornie, 23 stycznia 2013 roku, przemówieniem Davida Camerona zapowiadającym referendum w sprawie pozostania Zjednoczonego Królestwa w Unii. W owym czasie szeroka opinia nie zwróciła na nie zbyt wielkiej uwagi, co jednak zmieniło się trzy lata później, gdy 23 czerwca 2016 roku odbyło się referendum. Ku przerażeniu euroentuzjastów, 51,9% głosujących opowiedziało się za opuszczeniem struktur unijnych. 24 czerwca, a więc już następnego dnia, do dymisji podał się premier Cameron. Była to, jakby nie patrzeć, adekwatna reakcja na jedną z największych, o ile nie największą pomyłkę w rachubach od czasu kryzysu sueskiego, jaką popełnił brytyjski premier. Referendum miało na celu doskonale znane z naszego podwórka zaprzęgnięcie polityki zagranicznej do realizowania polityki wewnętrznej: Cameron dążył do zgaszenia wzrastającej popularności Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa oraz bardziej radykalne skrzydło własnej partii. Fatalnie pomylił się jednak w ocenie nastrojów społecznych.

Komentatorzy mają tendencję do rozpatrywania Brexitu jako rozgrywki między Londynem i Brukselą. Pomija się jednak, że jest jeszcze trzecia strona tego sporu (trudno bowiem dalej trzymać się wersji, iż jest to „procedura wyjścia z Unii Europejskiej”), mianowicie obywatele Zjednoczonego Królestwa. Widać to zwłaszcza w retoryce euroentuzjastów, sprowadzający głosujących za wyjściem do poziomu otumanionej przez złowrogich demagogów tłuszczy. Jedną z głębokich niedoskonałości systemu demokratycznego jest zaś to, że głos oddany przez wyborcę musi być uszanowany, obojętnie, czy nam to pasuje, czy nie. Ba, w kontekście tego akapitu należy się wręcz zastanowić, czy słusznym jest traktowanie pomyłki w rachubach Camerona właśnie jako pomyłki...

13 lipca 2016 roku Elżbieta II powierza misję stworzenia gabinetu Theresie May. W tym momencie burza między Londynem i Brukselą trwa już w najlepsze. Stroną inicjatywną jest tutaj bez wątpienia Unia, która słowami rozsierdzonego Junckera zapowiada jak najszybsze pozbycie się niesforne go członka z szeregów. TONUJĄ GO WTEDY ANGELA MERKEL I DONALD TUSK, ZDAJĄCY SOBIE SPRAWĘ, ŻE TAKIE PODEJŚCIE MOŻE DOPROWADZIĆ DO KATASTROFY. Tu trzeba działać sprytnie: z jednej strony pokazywać głębokie uszanowanie dla decyzji Zjednoczonego Królestwa, z drugiej jednak zamienić proces w drogę przez mękę. Są ku temu dwa powody: po pierwsze, aby nikomu nie przyszło już do głowy wychodzić z UE. Po drugie, ponieważ w tym momencie decyzję Brytyjczyków można jeszcze zmienić. Wszak referendum nie jest dla rządu w żaden sposób wiążące, Unia zaś ma wieloletnią tradycję ignorowania wyrażanych przez społeczeństwo oczekiwań i przepychania swych decyzji mimo to. Niedługo jednak okaże się, że działania aktywne nie są specjalnie potrzebne. Wystarczy odrobinę pomóc Brytyjczykom.

Premier May nie miała pomysłu na rozwód z Unią. Kolejne trzy lata upłynęły jej coraz bardziej desperackich próbach pożenienia ognia i wody: zadowolenia rozbieżnych oczekiwań i stanowisk w brytyjskim parlamencie i utrzymania kontroli nad torysami przy jednoczesnym zachowaniu większości. Szereg klęsk zaczął się od wyborów, gdy Partia Konserwatywna zmuszona była sformować rząd koalicyjny z Demokratyczną Partią Unionistyczną, czyli północnoirlandzkimi lojalistami, zakończył zaś 24 maja roku bieżącego, gdy May podała się do dymisji. Wcześniej jej próby pogodzenia sprzecznych stanowisk doprowadziły do całkowitego zablokowania negocjacji, nie sposób było bowiem udzielić negocjatorom jakichkolwiek instrukcji.

Wydawać by się mogło, że stroną przegraną jest więc Zjednoczone Królestwo. Jego parlament jest głęboko podzielony i skłócony, na wywiązanie się ze zobowiązania wobec głosujących nikt nie ma pomysłu, już drugi premier podał się z powodu Brexitu do dymisji, nie widać też żadnego pomysłu na doprowadzenie go do końca. W połączeniu z umiejętną kampanią medialną, która zaczęła już dawno żyć własnym życiem i na różne sposoby wykpiwa Brytyjczyków jako niezdecydowaną bandę roszczeniowych histeryków, wydaje się to pełnym sukcesem Brukseli.

Uważam jednak, że to błędna optyka i o ile faktycznie na Brexicie straciło Zjednoczone Królestwo, zaliczając potężny cios w swój wizerunek i stabilność sceny politycznej, o tyle Bruksela zaliczyła cios porównywalny, o ile nie większy.

*Brytyjski parlament jest  
głęboko podzielony i  
skłócony, na wywiązanie się  
ze zobowiązania wobec  
głosujących nikt nie ma  
pomysłu, już drugi premier  
podał się z powodu Brexitu do  
dymisji, nie widać też żadnego  
pomysłu na doprowadzenie go  
do końca*

Unia Europejska w aktualnym kształcie nie jest pochodną wizji Schumana i Adenauera. Bazuje na perspektywie „końca historii”, która, choć zarzucona przez swego twórcę, okazuje się nad wyraz żywotna. Zgodne z tą perspektywą, Unia

jest szczytowym osiągnięciem rozwoju politycznego i społecznego, ostateczną formą Europy, którą można wprawdzie udoskonalać, co do modelu jednak jest niezastąpiona. Na marginesie muszę tu zaznaczyć, że jeśli sądzą Państwo, że pozwalam sobie tutaj na hiperbole, to polecam zapoznać się z wypowiedziami niektórych polityków, zwłaszcza tymi umieszczanymi na Twitterze. Wracając jednak do wątku, owa doskonałość została tutaj dwukrotnie zanegowana. Po raz pierwszy w 2016, gdy wynik referendum podważył wizję euroentuzjastów, zgodnie z którą stworzyli oni raj z którego nikt nie będzie chciał wyjść. To zresztą domaga się kolejnej uwagi na marginesie: Artykuł 50 traktatu o Unii Europejskiej, który jest podstawą rozmów o secesji, nie jest oryginalną częścią traktatu. Dodano go dopiero w 2004 roku, a więc dopiero po dwunastu latach ktoś pomyślał o tym, że wypadało by dać możliwość opuszczenia struktury, członkostwo w której jest dobrowolne.

Referendum było szokiem, euroentuzjastom udało się jednak „zracjonalizować” jego wynik i zrzucić odpowiedzialność na owe wzmiankowane już złowrogie elementy z prawicowymi populistami na czele. Co gorsza jednak, po raz pierwszy rząd państwa Unijnego zdecydował się poprzeć stanowisko swoich obywateli. O ile dotychczas niepomysłne dla Brukseli referenda forsowano tak długo, aż wynik przestawał być niepomysłny, o tyle tutaj postąpiono po prostu zgodnie z tym, czego głosujący zażądali. I to jest moment, w którym Unia poniosła klęskę. Jakkolwiek euroentuzjaści nie chcą tak tego postrzegać, jest to moment ostatecznego udowodnienia, że UE jednak nie jest utopijnym bytem, spełnieniem marzeń każdego cywilizowanego człowieka. Nie da się dalej trzymać tej wersji w sytuacji, gdy ktoś właśnie „głosuje nogami” i rezygnuje z członkostwa w raj. Można by to jednak przekuć w porażkę, potraktować jako ostrzeżenie, sygnał do samokrytyki i wyciągnięcia wniosków, bodziec

do zreformowania się. Nic jednak nie wskazuje na to, by Bruksela zamierzała tak to potraktować, zarówno ona, jak i jej zwolennicy zdecydowani są postrzegać siebie jako ów wspomniany Paramount historii. To zaślepienie ma dużą szansę na pogrzebanie Unii, struktura bowiem, która się nie udoskonala, która nie jest zdolna do samokrytycyzmu i która nie jest w stanie się zreformować, skazana jest na spróchnienie i upadek. Zjednoczone Królestwo Brexit przetrwa. Unia zapewne też. Jednak następstwa Brexitu to już zupełnie co innego...

*Przemysław Mrówka*